

Damian Zdanowicz

Kamienica panny Kluk

(wyd. Phantom Books Horror)

recenzje

Zbiór 11 opowiadań, poprzedzony *Wstępem* Wojciecha Guni, zachwalającym Zdanowicza jako „jednego z najzdolniejszych twórców literackiego horroru w Polsce”. Nie mam zamiaru dyskutować z tą opinią, aczkolwiek źle znoszę tego rodzaju wstępy, sugerujące, że jeśli komuś prezentowane teksty mogłyby się nie podobać, to ma szukać winy w sobie, bo to jest „twórczość [...] nie dla każdego [...] przystępna; „teksty trudniejsze w odbiorze” (s. 10).

Nie ulega wątpliwości, że opowiadania Zdanowicza nie są łatwe w odbiorze. Nie chodzi tu nawet o to, że są one wzorowane na Ligottim, ani nawet, że są utrzymane w konwencji *weird fiction*: chodzi raczej o to, że są one na takim poziomie abstrakcji i nieoznaczoności, który wykluczy od razu część odbiorców. Od tekstów sygnowanych nazwą „horror” czy „groza” oczekują oni bowiem – i mają, w pewnym sensie, prawo oczekiwać – czegoś innego. Tego opowiadania Zdanowicza im nie zapewnią, bo są odzwierciedleniem innego typu wyobraźni – bliżej mu do Kafki (i wspomnianego, a modnego ostatnio, Ligottiego) niż na przykład do jednego z mistrzów *weird fiction* – Lovecrafta. W efekcie może się zdarzyć tak, iż to, co jest zrozumiałe dla autora, dla odbiorcy będzie kompletnie nieczytelne. Nie znaczy to, że autor ma zmieniać swój styl i artystyczną wyobraźnię, żeby się dopasować do publiczności: znaczy to jednak, że musi się liczyć z tym, iż krąg jego czytelników może być ograniczony.

Nie będę tutaj oceniać każdego opowiadania z osobna, nie wydaje mi się to niezbędne: tworzą one bowiem swoistą całość. Łączy tę prozę mroczna, oniryczna atmosfera, niepewność znaczeń; to świat ontologicznie i epistemologicznie niejednoznaczny, wymykający się jednotorowemu rozumieniu, a przez to emanujący niewypowiedzianymi możliwościami, skrywającymi się za fasadą „namacalnego”, zmysłowego postrzegania. Ludzie są manipulowani; mają jedynie złudzenie panowania nad własnym życiem i wyborami. To świat utrzymany w tonacji pochłaniającej czerni, beznadziei, fantasmagorii rodem z koszmarnego snu, z którego nie sposób uciec i którego nie sposób zrozumieć.

Sprawny warsztat, ciekawe operowanie językiem; czasem tylko kuleje zakończenie i dialogi.

Zbiór opowiadań Damiana Zdanowicza jest bez żadnej wątpliwości zbiorem problematycznym. A to z tego powodu, że trudno powiedzieć, żeby zasługiwał on w pełni na znalezienie się wśród nominowanych do Nagrody. Jest to stwierdzenie brutalne i bezkompromisowe, ale stanowi rezultat wnikliwego oszacowania przedłożonych w zbiorze utworów i przekonania o tym, że nie jest to literatura wysokiej próby. I choć nie wolno sądzić książki po okładce czy papierze, na jakim została wydana, to tak jedno, jak i drugie znakomicie oddaje zarówno te wskazane już, jak i inne problemy związane z samą lekturą.

Rozumiejąc, że w horrorze ogromną rolę odgrywa tworzenie takiegoż klimatu, rozumiem także popularność – cechującą także prozę mainstreamu – lokalnego kolorytu, w który wliczyć wypada wszechobecną szarzyznę, monotonię i schyłkowość pejzażu, równie wszechobecny alkohol, a także brutalność zachowań, mowy itd. Te estetyczne sztafaje są niezbędne do tego, by w przekonaniu wielu autorów stworzyć wierny lub wiarygodny bądź po prostu swojski nastrój i realia. Problem w tym, że jest to sceneria nadużywana od tak dawna, że wręcz irytująca. Przeciętność pokazać można na wiele innych sposób, bez uciekania się aż do takich klisz.

Pytanie retoryczne – kto dzisiaj zatytułuje kobietę „panna”? Nikt. W międzywojniu, jeszcze jakiś czas po wojnie, owszem, ale dzisiaj ten zwrot nie funkcjonuje, co sprawia, że sprawę tytułu utworu potraktować można niezamierzenie w sposób humorystyczny.

Choć same opowiadania nie są w żadnym razie nowatorskie, nie wprawiają w zachwyt czy olśnienie, znacznie bardziej niepokoi fakt, że w parze z tym idzie brak umiejętności stworzenia nastroju grozy – niezbędnego chyba, jeśli ktoś zabiera się do pisania w konwencji grozy. Może to rzecz niezbyt dobrej redakcji, a może niedostatków warsztatowych, lecz utwory te nie wywołują w zasadzie żadnych emocji, nie znajdują odbicia w żadnym ważnym dyskursie. Problematyka w nich poruszana jest raczej neutralna, a poza pokazaniem, że za znanym nam światem kryje się ten, którego nie znamy (a co jest oczywiste w konstrukcji horroru), nic więcej z tych literackich wysiłków nie wynika.

Warstwa narracyjna też niekiedy szwankuje, bo bywają tam zdania tak długie, że aż „przegadane”. Taki sposób prowadzenia narracji nuży, nie sprzyja czerpaniu przyjemności z lektury. Niektóre fragmenty zamiast zresztą uruchamiać mechanizmy lękowe, wzbudzają śmiech – i nie mam tu na myśli walorów humorystycznych, lecz niecelowy komizm. Oczywiście wszystkie te bolączki można

przepracować, bo widać wyraźnie, że autor zmierza ku jakiemuś celowi, że stara się najlepiej, jak potrafi zadowolić czytelnika i bez wątpienia ma przed sobą jeszcze wiele pisarskich wyzwań.

Jednak fabułom zamieszczonym w zbiorze brakuje polotu, innowacyjności, niepowtarzalności. To wszystko już gdzieś napisano, a taki brak oryginalności po prostu nie współgra z wymogami wyłonienia w konkursie utworów reprezentujących to, co w grozie najwartościowsze.

Nowela grozy wymaga od swego autora dyscypliny i narzuca mu bardzo konkretne ograniczenia – zwięzłość i przejrzystość kompozycji, spójność stylistyczną, wyrazisty motyw organizujący fabułę, zwrot akcji w finale etc. W zamian oferuje natomiast tylko, lub być może aż, swoistą skuteczność retoryczną – wywołując dreszcz niepokoju (strachu) u czytelnika. W swoich najlepszych utworach (jak nowela tytułowa) Damian Zdanowicz daje świadectwo warsztatu, który umożliwia mu z powodzeniem zrealizowanie tego celu, a równocześnie pozostaje wierny własnej wrażliwości estetycznej, która każe mu poszukiwać uchylonych „drzwi do koszmaru” w dość banalnej na pozór codzienności (jak choćby czynszowa kamienica, do której wraca tyleż zagadkowa, co upiorna właścicielka). Krytycy (a także inni autorzy, jak Wojciech Gunia) podkreślają, że w tomie Zdanowicza wiele jest z Ligottiego (może zwłaszcza w wątku „koszmarnego magazynu”), co może być zarówno pochwałą, jak i przyganą. Kiedy jednak w teksty Zdanowicza wczytać się nieco uważniej, to widać całkiem wyraźnie, że polski autor wierny jest Ligottiemu o tyle, o ile sam Ligotti wierny jest literackiej tradycji *weird fiction* z jej konwencjonalnymi chwytami, obiegowymi motywami i stylistycznymi upodobaniami. W tym kontekście *Kamienica Panny Kluk* jest przede wszystkim tomem zbierającym intrygujące nowele nowoczesnej *weird fiction* napisane z szacunkiem dla tradycji i jej mistrzów.

Kamienica panny Kluk jest zbiorem opowiadań, jednak Autor wyraźnie dołożył starań, aby nadać owemu zbiorowi znamion spójności. Nie tylko poszczególne opowiadania łączy podobna wizja świata, nie tylko w niektórych z nich powtarzają się te same motywy („blade horror”, „koszmarny magazyn”), ale też spoiwem łączącym zbiór w całość są opowiadania pod wspólnym tytułem *Dzwonią do mnie zawsze po północy*, w których głosem rozmówców protagonisty-narratora komentowane są niektóre aspekty wizji rzeczywistości komunikowanej w zbiorze. Swego rodzaju ramę tworzą też opowiadanie pierwsze i ostatnie, gdzie eksploracji podlegają „zakazane” części budynków (w pierwszym przypadku strych, w drugim – piwnica), a raczej tajemnice, które miejsca te skrywają.

Nie mamy tu do czynienia z chwilowym przełamaniem praw modelu świata, ale korektę początkowo zakładanego porządku. I nie chodzi tu – jak we wcześniejszej *weird fiction* – o odkrycie kosmicznej grozy czającej się w „zewnątrznych kręgach” rzeczywistości, niekiedy wdzierającej się w „zwyčajny” świat, ale o zupełnie innego rodzaju rewelację. Peregrynacje bohatera podejmowane w niewiadomym celu, ostatecznie prowadzą go ku chaosowi, pustce i bezsensowi spoczywającym u podłoża niby to znanej rzeczywistości. To, co wdziera się w pozornie uporządkowany świat protagonisty (panna Kluk, telefony o północy, koszmarny magazyn, wróg czyhający na bohatera we *Wzgórzu*) to właśnie uosobienie pustki i braku sensu. Ów brak widać także w samym prowadzeniu fabuły w opowiadaniach – trudno mówić tu o jakichkolwiek związkach przyczynowo-skutkowych, które nakładałyby porządek na poczynania bohatera.

Przestrzeń jest tu odrealniona (we *Wzgórzu* jest wyłącznie wytworem wyobraźni bohatera, stwarzającego tytułowe miejsce z niczego – a jednak w miarę rozwoju akcji nabiera znamion realności), zaciera się granica między snem a jawą, między prawdą a złudzeniem. Pierwszoosobowa narracja, obecna w większości opowiadań, daje możliwość śledzenia procesu rozpadu, jakiemu podlega rzeczywistość protagonisty-narratora; zarazem opowieści pełne są niedopowiedzeń i luk informacyjnych, motywowanych niewiedzą bądź niepełną wiedzą bohatera. Służy ona także zacieraniu granicy między światem obiektywnym, a wewnętrznym: nie wiadomo, do jakiego stopnia to, co opisywane jest prawdziwym doświadczeniem, a do jakiego tylko wytworem umysłu – i nie jest to istotne. Motywy luster, snu czy wyobrazonego świata sugerują, że odkrycia protagonistów opowiadań to nie tylko doświadczenie zewnętrznej rzeczywistości

i tego, co znajduje się poza pozornym porządkiem (w który ostatecznie ucieka bohater *Kamienicy panny Kluk*), ale i doświadczenie chaosu u samych podstaw osoby obserwatora: odkrycie prawdy o sobie.

Tak, są to opowiadania grozy. Pytanie jednak, czy wchodzenie po raz kolejny w rzeczywistość, która okazuje się jedynie pozorem, skrywającym egzystencjalny chaos i rozpacz, nie jest nieco nużące.

O debiutanckim zbiorze opowiadań Damiana Zdanowicza, *Kamienica panny Kluk*, zrobiło się głośno w drugiej połowie 2017 roku. Książka, mocno wpisana w środowisko fanów literatury grozy i przez nie promowana, wzbudzała olbrzymie nadzieje recenzjami i opiniami (wśród których znalazł się też entuzjastyczny głos laureata ubiegłorocznej Nagrody Polskiej Literatury Grozy – Wojciecha Guni). Oczekiwania, które ów szum środowiskowy mógł wzbudzić, okazały się tym bardziej zawiedzione w kontakcie z tekstem, którego dotyczyły.

Kamienica panny Kluk to zbiór opowiadań należących do specyficznego nurtu literatury określanego na Zachodzie mianem *weird fiction*. Jej zakres nie pokrywa się z literaturą grozy (choć można wskazać część wspólną), dotyczy raczej innej kategorii estetycznej: dziwności, z której groza może wziąć swój początek. Do twórców *weirdu* można by zaliczyć Kafkę czy Schulza. To oczywiście nazwiska, które ponownie ustawiają poprzeczkę zbyt wysoko.

Zdanowiczowi jednak najbliższy do Thomasa Ligottiego, którego zbiór *Teatro Grottesco* (oraz esej *Spisek przeciwko ludzkiej rasie*) można przeczytać po polsku. To literatura skrajnie pesymistyczna, zakorzeniona w tradycji Schopenhauera czy Ciorana. Przy czym z filozofii nie zostaje w *Kamienicy* wiele, więcej od Ligottiego zaczerpnięto tu metafor i sposobu przedstawiania świata. Pierwsze nie są ciekawe – labirynty, marionetki – to wszystko konwencjonalne, „oklepane” motywy i jeśli budzą jakieś zdziwienie, to tym, że w swojej oczywistej konwencjonalności nie zostały jeszcze rozpoznane przez autorów i ich czytelników. Drugie natomiast stanowi największy atut tego zbioru. Zdarzają się w nim co prawda figury logicznie niespójne, a ogrom błędów (ortograficznych, interpunkcyjnych, stylistycznych, typograficznych) wybija uważnego czytelnika z ważnego w przypadku literatury grozy skupienia, to ograniczenie akcji na rzecz przedstawień jest najciekawszym i – zdaje się – najbardziej świadomym wyborem artystycznym spośród wszystkich nominowanych w tym roku książek. Jest to też zabieg całkowicie niekomercyjny, nawet antykomercyjny, co warto odnotować.

Kamienica panny Kluk, choć pełna błędów i klisz, nie jest wcale książką słabą. Nie jest też książką dobrą. Jest książką przeciętną, choć w swej przeciętności wybija się ponad poziom współczesnej polskiej literatury grozy. Cierpi z pewnością na brak redakcji, który widoczny jest w zasadzie od pierwszej strony. I choć jest zbyt wcześnie, by Zdanowicza nagradzać, to *Kamienicę* można z powodzeniem nazwać najciekawszym debiutem polskiej grozy roku minionego. I obserwować poczynania tego młodego twórcy.